

ROZCZAROWANIE ZWYCIĘSTWEM

Wraz z upadkiem komunizmu — geo-strategicznym, politycznym oraz ideologicznym — kapitalizm odniósł niesłychane zwycięstwo, jakiego nawet najżarliwsi jego obrońcy nie odważali się oczekiwać, a przynajmniej za tak niską cenę. Niemniej, po przeminięciu krótkiej euforii, uczucie dominujące w społeczeństwach rynkowych (czyli praktycznie w całym świecie dzisiejszym) nie wydaje się przypominać klimatu typowego dla optymizmu.

Wprost przeciwnie: przy końcu XX wieku chyba nigdy, tak jak dzisiaj, nie odczuwano tak wielkiego niezadowolenia z postępu ekonomii przy całkowitym niemal braku perspektyw dla wielu osób oraz miarodajnej recepty na przyszłość. Dominuje więc pesymizm — choćby nawet dlatego, że zniknęła już jakakolwiek widzialna alternatywa dla tego systemu — i uwidaczniają się mocno frustracje.

I. Bezrobocie

Przykładowo: przed trzydziestu lub czterdziestu laty żywiono nadzieję na wyeliminowanie nędzy w dość niedługim czasie przynajmniej z bardziej nowoczesnych społeczeństw, jak np. amerykańskie czy europejskie. Tymczasem obecnie wyszło na jaw, że — pomimo stałego wzrostu ekonomicznego w tych właśnie społeczeństwach, i to wcale niemałego — pojawiają się zupełnie nowe formy ubóstwa i nędzy oraz poszerza się znacznie margines społeczny. Klęski (i bicze) takie, jak narkomania, są w wielkiej mierze odpowiedzialne za całe rzesze tych „nowych ubogich”, którzy się mnożą jak grzyby po deszczu w krajach uważanych za rozwinięte, chociaż zjawisko to nie wyjaśnia jeszcze wszystkiego. Bezrobocie jest niewątpliwie czynnikiem decydującym, a nikt nie wie, jak je wyeliminować.

Ekonomiści i socjologowie dyskutują od dawna nad przyczynami tego aktualnego obecnie zjawiska braku zatrudnienia, a ich diagnozy nie zawsze są zgodne ze sobą. Jedni wyakcentowują rygor praw do pracy w Europie, w porównaniu z większą ich płynnością w Stanach Zjednoczonych, co pozwala tam na zmniejszenie skali bezrobocia, chociaż za cenę tysięcy i milionów zajęć chwilowych i bardzo źle płatnych. Inni krytykują przerost podatków

i świadczeń na rzecz opieki społecznej, jakie przedsiębiorcy europejscy muszą płacić, przyjmując kogoś do pracy (co skłania ich do ograniczania miejsc pracy w danym przedsiębiorstwie), proponując — dotychczas jednak z bardzo małym skutkiem — aby państwa opodatkowały mniej pracę, bardziej zaś inne dziedziny, jak choćby energię.

Jedno jest pewne: wielka rewolucja technologiczna, postępująca wciąż naprzód w zdumiewającym rytmie, oparta zasadniczo na procesach informacji i telekomunikacji, zmieni drastycznie sposób wykonywania pracy i — co jest decydujące — kwalifikacje niezbędne do jej wykonywania. Tymczasem nie jest tak łatwo przeobrazić robotnika w średnim wieku, dotkniętego bezrobociem na skutek załamania się przemysłu tekstylnego lub hutniczego w ich tradycyjnym kształcie, w pracownika „informacji”: informatyka.

Maszyny i sama automatyzacja pracy powodowały zawsze bezrobocie, przynajmniej w pierwszej chwili, co jest rzeczą powszechnie znaną. Tworzy się zaś maszyny po to, aby „oszczędzać” pracę ręczną i umysłową. I dlatego w początkach przemysłowej rewolucji angielskiej nie brakowało robotników, którzy niszczyli maszyny, jakie ich zastępowały z korzyścią dla produkcji danego przedsiębiorstwa. Jasne jest, że temu traceniu miejsc pracy towarzyszyło, na średnią i dłuższą metę, tworzenie wielu nowych zawodów oraz samego bogactwa. Nie eliminowało to jednak poczucia krzywdy i bólu u tych, którzy mieli pecha i stali się ofiarami postępu.

Czy jesteśmy obecnie zdolni uniknąć społecznych kosztów przejścia w społeczeństwo po-przemysłowe? Czy będziemy przynajmniej zdolni do tego, by ograniczyć ludzką (a także i ekonomiczną) cenę osób wykluczonych na skutek zastosowania nowych technologii? Aż do dzisiaj, niestety, nic nie pozwala nam na optymizm w tym względzie.

Należy przede wszystkim odsunąć zdecydowanie na bok niektóre „rozwiązania” samobójcze dla bezrobocia, jakimi mogą być te wszystkie, które się opierają (mniej lub bardziej świadomie) na iluzji, jakobyśmy byli w stanie przyhamować świadomie postęp technologiczny (co czynili właśnie robotnicy angielscy, gdy zaczynały zastępować ich maszyny...), albo też jak gdyby się nam udało odizolować nasz rynek (narodowy, europejski) tak, by nie druzgotała nas konkurencja osób (firm) trzecich, bardziej produktywnych. Za takie iluzje i złudzenia płaci się wielką cenę; ignorowanie zasad rynku prowadzi do katastrofy, czego wymownym przykładem jest upadek komunizmu.

2. Biedni i bogaci

Bezrobocie nie stanowi jednak jedyne go poważnego problemu ekonomicznego i społecznego, z jakim się spotykamy. W Ameryce, gdzie procent bezrobotnych jest niższy niż w Europie, ludzie nie są także za bardzo usatysfakcjonowani rozwojem ekonomii.

W rzeczy samej, pomimo umiarkowanego rozwoju ekonomii Stanów Zjednoczonych w ostatnim dziesięcioleciu, panuje tam atmosfera kryzysu. Zaostrzają się bowiem na nowo różnice poziomów dochodów w społeczeństwie północno-amerykańskim.

Wbrew temu, co z uporem powtarzają przeciwnicy ekonomii rynku, kapitalizm był czynnikiem demokratyzującym, i to niesłychanie, bogactwo. W ciągu całego wieku XX, zwłaszcza zaś po drugiej wojnie światowej, znaczna część tzw. „proletariuszy” z uprzemysłowionych krajów zachodnich stała się klasą średnią. Robotnik przestał być „właścicielem” samej tylko rodziny („mieć dzieci...”), jak to miało miejsce przed stu laty, ale stawał się stopniowo posiadaczem elektrycznego sprzętu domowego, samochodu, a nawet własnego domu.

Tymczasem, o ile komunizm przegrał w oczach wszystkich, to kapitalizm daje już oznaki, jakoby przestał się przyczyniać do zmniejszania przepaści pomiędzy bogatymi i biednymi. Od mniej więcej 15 lat średnia płaca większości robotników amerykańskich praktycznie się nie zwiększa w wymiarach konkretnych (tzn. odliczając inflację), gdy tymczasem umacnia się tendencja do silnego wzrostu płac mniejszej grupy osób wykwalifikowanych, zajmujących się problemami i techniką społeczeństwa „informacyjnego”.

W pewien sposób można było się spodziewać, że wraz z upadkiem komunizmu sprowadzi się jeden z jego sloganów propagandowych, iż na Zachodzie ludzie ubodzy stają się coraz to biedniejsi, a bogaci szybko się wzbogacają... Historyczna ironia losu sprawiła, że właśnie obecnie szerokie warstwy ludności amerykańskiej odczuwają boleśnie swoje niezbyt dobre, a nawet złe położenie (co w znacznie mniejszym stopniu ma także miejsce w Europie zachodniej). A przecież w „złoty latach” zachodniej ekspansji ekonomicznej — zwłaszcza pomiędzy 1950 a 1970 r. — ludzie się przyzwyczaili do stopniowego wzrostu poziomu życia; tymczasem obecnie dla wielu z nich zupełnie to się nie sprawdza.

3. Państwo opiekuńcze

Jedną ze spraw, do których przyzwyczaiła się klasa średnia (stanowiąca przytłaczającą większość w krajach bogatych) w połowie ostatniego stulecia, jest opieka społeczna czyli państwo opie-

kuńcze, zatroskane o swych obywateli. Dla autentycznego „proletariusza” w przeszłości, choroba, inwalidztwo, bezrobocie itd. stanowiły prawdziwą katastrofę rodzinną, doprowadzającą do skrajnej nędzy. Natomiast wraz z państwem opiekuńczym rozpowszechniły się darmowe świadczenia lekarskie (a przynajmniej nisko-płatne), emerytury i renty inwalidzkie, pomoce dla bezrobotnych itd. Ryzyko — i to jak wielkie! — wyraźnie zmalało dla tak wielu ludzi.

Tymczasem, jak dobrze wiadomo, cała ta sieć zabezpieczeń, nieodzowna dla spokoju wielu milionów osób, znajduje się obecnie w stanie załamania finansowego, i to niemal całkowitego. Mały przyrost demograficzny spowodował znaczne postarzenie się ludności, przy zmniejszającej się wciąż proporcjonalnie liczbie „czynnych zawodowo”, od których się pobiera, siłą rzeczy, coraz to więcej gotówki na ubezpieczenia, aby pokryć w ten sposób zapotrzebowanie coraz to większej ilości grup społecznych, objętych opieką socjalną (rolnicy itd.). Załamanie się finansowe jest niemal w zasięgu oka.

I dlatego we wszystkich krajach europejskich (i nie tylko) reforma państwa opiekuńczego znajduje się na pierwszym planie całej działalności politycznej. Dramat polega jednak na tym, że nie wiadomo, jak przeprowadzić tę reformę, i jak doprowadzić do tego, by ta wielka rzesza ludzi, która przechowuje nadal w pamięci rodzinnej (jeżeli nawet nie osobistej) cały dramatyzm beznadziejności przy całkowitym zdaniu się na trudne i bardzo bolesne koleje życia, zaakceptowała takie zmiany. Wystarczy przypomnieć to, co działo się we Francji w grudniu 1995 roku...

Politycznie jest to kwadratura koła: klasa średnia stała się większością ludności (wybory, głosowanie) i to ona korzysta z dobrodziejstw państwa-opiekuna, które — rzecz jasna — nie śmie nawet stać się mniej wspaniałomyślne. W jaki sposób można by przekonać tych ludzi, że dobrodziejstwa państwa opiekuńczego powinny w pierwszym rzędzie kierować się do osób faktycznie ubogich? A przecież dobrze się wie o tym, iż wielu z tych najuboższych cierpi na takie wykluczenie społeczne, że się znajduje faktycznie poza zasięgiem oddziaływań państwa-opiekuna.

Jedynie pogłębienie świadomości moralnej większości ludności (a większością są z reguły ci, którzy rządzą w demokracji!) może ją doprowadzić do dobrowolnego podjęcia się tej ofiary — albowiem o nią w rzeczy samej idzie — na rzecz bardziej upośledzonych. Wydaje się to jednak rzeczą niesłychanie trudną w społeczeństwach mniej rozwiniętych, jak choćby portugalskie, gdzie nawet klasa średnia nie żyje w prawdziwym dostatku.

4. Trzeci Świat

W wymiarze międzynarodowym były już takie czasy, w których się żyło większą nadzieją. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych uważano, że przy pomocy teorii rozwoju ekonomicznego kraje Trzeciego Świata — wiele z nich odzyskało niepodległość po wiekach kolonizacji — potrafią znaleźć drogi przezwyciężenia niedorozwoju.

Obecnie jednak, kiedy się ogląda tragiczną sytuację w Afryce, nie można nie odczuwać głębokiej frustracji. Drogi rozwoju jawią się w końcu jako bardzo trudne i nadzwyczaj tajemnicze, o wiele bardziej, aniżeli kiedykolwiek sądzono. Równocześnie zaś nie przestaje wzrastać wciąż ilość tych, którzy dosłownie umierają z głodu na świecie.

Rozpływa się złudzenie — u tych, którzy je mieli — jakoby wszystko dało się rozwiązać poprzez wyeliminowanie „kapitalistycznego i kolonialnego wyzysku”. Wiele ludów afrykańskich w dobie obecnej nie jest już „eksploatowanych” przez inwestorów zagranicznych, łącznie z tak osławionymi firmami międzynarodowymi... Obcokrajowcy i wielonarodowcy nie byli nigdy aniołami to jasne, nierzadko też stosowali metody etycznie naganne, aby tylko powiększyć swe zyski. Zawsze jednak dawali zatrudnienie, którego obecnie zaczyna brakować, albowiem przedsiębiorcy z „Pierwszego Świata” przestali się interesować Afryką i ją często opuszczają.

Rozmywa się przeto idea — w istocie rzeczy bardzo pocieszająca, albowiem wyjaśniała (!?) istniejące zło — że skoro istnieje nędza na świecie, to jedynie dlatego, iż ktoś na niej zarabia (i dlatego jest winny); są bowiem wyzyskiwacze i wyzyskiwani. Wystarczy wyeliminować mechanizmy (kapitalistyczne) wyzysku, a natychmiast zapanuje sprawiedliwość i rozwój. Rzeczywistość jawi się jako o wiele bardziej złożona.

Oczywiście, nie wszystko jest negatywne. Prosta oczywistość, że komunizm nie osiągnął swego i że nie może już służyć jako skuteczny „przyśpieszacz” unowocześniania społeczności archaicznych (choćby nawet za cenę ich wolności), pomniejszyła atrakcyjność wzorca kolektywistycznego dla liderów Trzeciego Świata. Dzięki zaś większemu zwróceniu się do mechanizmów rynku, jego głód został w ostatnich latach przezwyciężony także w Chinach, w o wiele mniejszym jednak stopniu w Indiach, tych dwóch krajach najbardziej zaludnionych w świecie. Podobnie też ekonomie

południowo-amerykańskie osiągają dobre wyniki, przewyższając tradycyjne nawyki państwowo-opiekuńcze.

A tymczasem to nieodzowne i pozytywne zbliżenie do rynku pociąga za sobą z reguły wysokie koszty ludzkie i społeczne. Uboższe klasy płacą niewątpliwie istotną część sumy przejścia na ekonomię otwartą i konkurencyjną. To jasne, że na dłuższą metę tylko ekonomia tego typu gwarantuje dobrobyt i wyższą stopę życiową najbardziej dotąd pokrzywdzonym. Problemem jest tutaj czas „przejęciowy”...

5. Protekcjonizm

Finansowa pomoc dla krajów „na drodze rozwoju” była przez jakiś czas traktowana jako środek nieodzowny do zbliżenia narodów biednych do bogatych. Obecnie jednak wiemy, że tzw. „pomoc w rozwoju” ma skuteczność wielce ograniczoną. Wielka część zasobów finansowych, przenoszonych na przykład z Północy na Południe, ginie na skutek korupcji i służy w końcu bardziej eksporterom z krajów uprzemysłowionych, aniżeli ludziom z Trzeciego Świata.

Nie byłoby jednak czymś tak dramatycznym to niewielkie tylko zaangażowanie, jakie społeczeństwa bogate okazywały w ostatnich latach odnośnie do niesienia pomocy w rozwoju. O wiele poważniejsze jest to, co się dzieje na płaszczyźnie handlowej.

O ile istnieje, a sądzę, że tak, moralne zobowiązanie wspomagania ludów Trzeciego Świata, to powinno ono się wyrażać przede wszystkim w otwarciu rynków krajów bogatych na produkty krajów biednych. Tylko w ten bowiem sposób będą mogły one „skonstruować” rozwój ekonomiczny, trwały i owocny.

A tymczasem wiatry protekcjonizmu wieją coraz to mocniej w po-przemysłowych społeczeństwach Zachodu, dotkniętych głęboko skutkami globalizacji, tzn. tym, że rynkiem, na którym muszą konkurować ze sobą ich firmy, staje się odtąd coraz bardziej świat cały (na skutek wzrastającej wciąż współzależności, jaka wynika z postępu w transporcie, komunikacji i informatyce). Jedynie w niektórych przypadkach „protekcjoniści” odważają się przedstawiać jako tacy (np. Ross Perot i Pat Buchanan w Stanach Zjednoczonych). Większość głosów o nastawieniu defensywnym i protekcjonistycznym przyodziewa się w inne szaty, bardziej poprawne „politycznie”: słuszny rynek (*fair trade*) przeciwstawiony rynkowi wolnemu (*free trade*), przewyższanie tzw. społecznego *dumping* w imię poszanowania praw człowieka, itd.

W głębi kryje się jednak obawa przed konkurencją krajów

taniego rękodziela, bądź też tych krajów Trzeciego Świata, które się zaczynają industrializować. Wobec takiego zagrożenia czyni się wszystko — od początku do końca — aby zmodernizować te kraje zacofane, jak gdyby (wbrew temu, co udawadniał Ricardo niemal przed dwoma wiekami) rynek międzynarodowy był grą o stawce zerowej, gdzie korzyść jednych działa źle, a nawet fatalnie na drugich. Albo też jakoby wymiana międzynarodowa nie wynikała właśnie z odmiennych uwarunkowań (zwłaszcza w zakresie kosztów), w jakich dobra i usługi są wytwarzane w różnych częściach świata.

Poza swą niemoralnością protekcjonizm jest także głupi, albowiem na dłuższą metę prowadzi do wyrządzenia szkody temu, kto do niego się ucieka, gdyż uniemożliwia bardziej skuteczne lokowanie nadwyżek produkcyjnych — co nie jest, oczywiście, bezpośrednio szkodliwe dla niektórych, na pierwszym zaś miejscu dla przedsiębiorstw chronionych, objętych protekcją (wiadomo dobrze, jak właściciele przedsiębiorstw i syndykaty łączą się ze sobą, domagając się protekcji wbrew interesom konsumentów, którzy nie mają odpowiednich związków czy zrzeszeń, aby stawały w ich obronie). Nacisk protekcjonistyczny jest zresztą podwójnie głupi, ponieważ nie dostrzega — lub udaje, że nie widzi — iż zamykanie bram przed artykułami z krajów biednych oznacza znaczne powiększenie się w krótkim przeciągu czasu wjazdu do Europy i Ameryki imigrantów mniej lub bardziej nielegalnych, pochodzących ze społeczności skazanych na stagnację.

Wszystkie fundamentalizmy zasługują na potępienie, a fundamentalizm liberalny, sakralizujący rynek, wcale nie jest lepszy. Słuszne jest zatem i zgoła naturalne, że niektóre ekonomie zachodnie, bardziej słabe, jak np. portugalska, tworzą przejściowe systemy obronne i stopniowo się otwierają na konkurencję tych krajów, w których wynagrodzenia są najniższe i nie ma opieki społecznej nad rękodzielnictwem, mającym charakter niemal niewolniczy. Ale i Portugalczycy powinni myśleć o tym, jak się zachowują w przypadku, gdy np. Niemcy nie zgodzą się jutro lub pojutrze na import artykułów z ich kraju pod pretekstem, że wypłacane w Portugalii pensje, o wiele mniejsze od niemieckich, gdyż stanowiące zaledwie 1/4 lub 1/5 przeciętnych zarobków w Niemczech, są nielojalną wobec nich konkurencją...

Innymi słowy, trzeba być bardziej czujnym wobec pretekstów i sofizmatów, jakie protekcjoniści lansują celem przekonania opinii publicznej. Chodzi zwłaszcza o brak spójności, a nawet logiki u Amerykanów i Europejczyków, którzy po całych dziesięcioleciach głoszenia zalet ekonomii rynku wbrew komunizmowi stara-

ją się obecnie mocno ograniczać funkcjonowanie tego rynku. Oznacza to bowiem, że rynek i konkurencja są najlepsze z jednym tylko wyjątkiem: o ile nie zagrażają mojemu przedsiębiorstwu, mojej dziedzinie, mojemu krajowi...

Zakończenie

Wobec tych wszystkich niebezpieczeństw dla dobra wspólnego na płaszczyźnie narodowej i światowej największym grzechem byłby fatalizm. Postawa rezygnacji może być zrozumiała po spektakularnym załamaniu się ideologii, które chciały (co też w dużej mierze udało się im osiągnąć) zdobyć dla siebie ludzi XX wieku. Ale postawa taka jest błędna.

Historia bynajmniej się nie skończyła. Z pokorą typową dla tego, kto zna dobrze swą własną niewiedzę, nie możemy zaprzestać starań o lepsze społeczeństwo.

tłum. ks. **Lucjan Balter SAC**